

WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

NA ZIEMI I POD ZIEMIĄ.

(Z wędrówki po kraju)

Puszczając się na wędrówkę po ziemi i pod ziemią, musimy przedewszystkiem uprzedzić czytelników naszych, że będzie to podróż niezwykła i że wśród niej przyjdzie nam niejednokrotnie zanurzyć się w głębokie ciemności, wpośród których jedynie lampki, jak błędne ogniki, zamigocą przed nami w przepaście otchłani; to znowu spotkać się z tak jaskrawym blaskiem ognia, że widok jego, wzrok nasz tylko pod osłoną szkła błękitnego znieść potrafi, nie wspominając już o rozmaitych innych nadzwyczajnościach, jakie nas spotkają. Ale też za to będziemy mieli sposobność poznać zbliska tę tajemniczą dziedzinę, którą bujna wyobraźnia ludowa po innych krajach zappełniła tłumami karłowatych gnomów, u nas zaś każde jej strzedz tajemniczemu duchowi, zwanemu „Skarbnikiem”.

Otóż sama jego nazwa dowodzi, że muszą tam znajdować się godne strzeżenia skarby. O! są tam skarby i to nie tak łatwe do opisania. Od wielu już wieków są one przedmiotem badania dla wielu zasłużonych mężów, zajmujących się bardzo gorliwie nauką, znaną pod imieniem mineralogii. Mając wszelkie prawo sądzić, że i czytelnicy nasi w dalszym ciągu zajęć umysłowych, obeznają się w ściślejszym znaczeniu z tą gałęzią nauk przyrodniczych, pominiemy tu narazie wszelkie uczone wywody, dążąc wprost tam, gdzie skarby te dla dobra ludzkości pomieściła ręka Stwórcy.

— A zatem kto łaskaw, proszę w podróż z sobą!

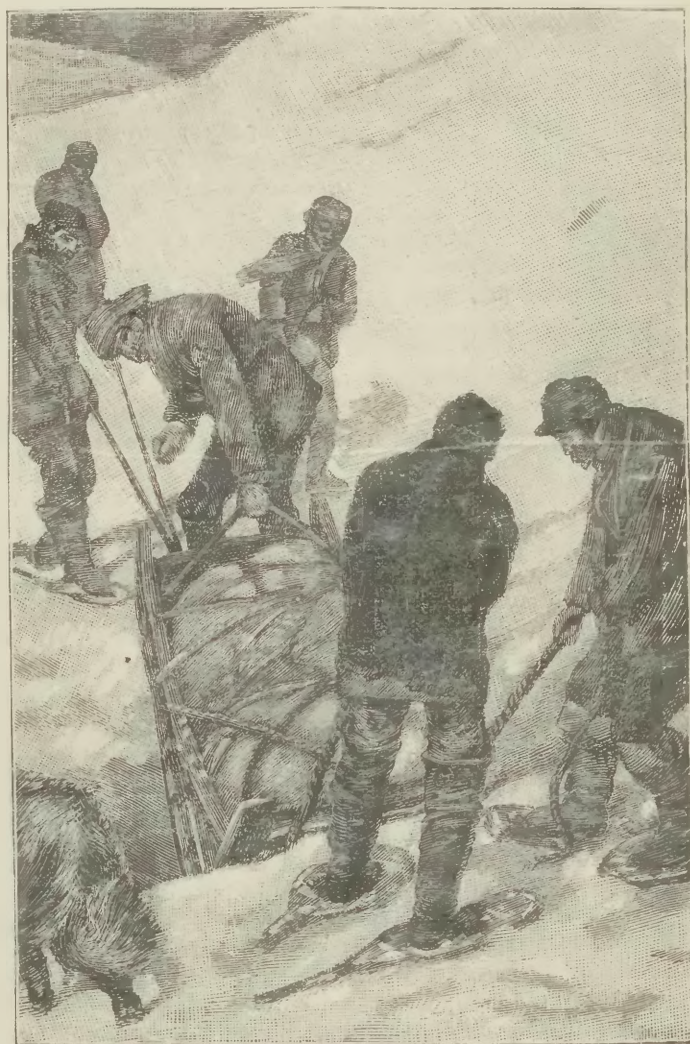
— A dokąd? — zapytacie.

— Ha! prosto przed siebie. Otóż bez żadnych zachodów i pakunków udamy się najprzód na dworzec drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, ztamtąd zaś do stacji Kołuszki, z kąd już najbliższym pociągiem, dążącym po linii Iwanogrodzko-Dąbrowskiej, dostajemy się do Dąbrowy, głównej osady zachodniego okręgu górnictwa rządowego.

Jestto właśnie jedna z największych skarbnic podziemnych, zawiera bowiem najznaczniejsze kopalnie węgla kamiennego, który już od lat tylu jest nie tylko główną podstawą wszelkiego przemysłu, ale zarazem źródłem ogólnej wygody i względnego dobrobytu.

Dąbrowa dzieli się właściwie na dwie części, to jest górniczą, w której się mieszczą kopalnie i wszelkie połączone z niemi zakłady — i Starą Dąbrowę, zwykłą siedzibą rolniczą, czyli wioskę, skąpo uposażoną od natury, pod względem gruntu.

Skutkiem zaprowadzenia komunikacji bezpośredniej, za pomocą drogi żelaznej Iwanogrodzko-Dąbrowskiej, oraz



...udało im się wyrąbać statek z zapory lodowej i spuścić na morze (str. 47)

wydoskonalenia sposobów wydobywania węgla, z zastosowaniem takowego do właściwego użytku, Dąbrowa górnicza nabrała większego znaczenia, a ludność jej tak dalece w liczbie wzrosła, że już dziś liczy 40,950 mieszkańców, których znajduje się 15,424 stałych, a 25,530 niestałych, należących do różnych narodowości, to jest: 33,707 miejscowej ludności chrześcijańskiej, 2,520 żydowskiej, 2,924 Niemców, 1,318 Francuzów, 16 Włochów, 6 Tatarów i t. d. Cała ta ludność stanowi

wielką gminę, zostającą pod zarządem jednego wójta. Pomimo bezustannego dymu, przyćmiewającego błękit widnokręgu, Dąbrowa przedstawia się dość malowniczo dzięki otaczającym ją zewsząd wyniosłym wzgórzom. Z pomiędzy nich najmilej wpada w oko zamożna wieś Gołonóg, z pięknym kościołkiem, górującym wysoko po nad całą okolicą. Znajdująca się u stóp kościoła, wpośród dzikich zarośli, głęboka grota, do której przywiązana jest wzruszająca legenda, dała podobno początek nazwaniu tej miejscowości. W niej to bowiem przez lat wiele przemieszczał podobno sędziwy pustelnik, wiecznie bosi i twardą włosienicą odziany, który zarówno bogobojnością swoją, jak i dobrodziejstwami świadczonemi ubogim i chorym, zyskał sobie sławę świątobliwości w całej okolicy, i dopiero po jego śmierci dowiedziano się, że był on niegdyś jednym z owych dumnych magnatów, którzy trawili życie na hulankach. Byłby w ten sposób doszedł do ostatecznej moralnej zguby, gdyby w skutek przestrogi swego spowiednika, nie nawrócił się na drogę najsurowszej pokuty i zaparcia samego siebie. Ze zaś nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, przeto od bosych stóp, zwano go Gołonogiem i na jego pamiątkę dano też samo imię owej wsi, w pobliżu której pędził tak długo pokutnicze życie. Takie jest podanie o miejscowości, gdzie się znajduje dziś tak zwana Dąbrowa kolejowa.

Idąc dalej, napotykamy rzędy murowanych domów, zamieszkałych bądź przez urzędników, bądź też przez robotników, pracujących w pobliskich hutach cynkowych i kopalniach, oraz bardzo porządną szpital górniczy. Niedaleko ztamtąd wznosi się długi szereg chat, gdzie w nigdy niewygasających piecach, zbudowanych z cegieł ogniotrwałych, przetapia się galman, czyli ruda cynkowa, dostarczana przez kopalnię, znajdującą się w okolicach Olkusza. Tu też po raz pierwszy spostrzegamy na wieżyczce oberży, stojącej przy drodze do Zagórza, godło górnicze: to jest młot i kilof na krzyż złożone, powtarzające się następnie co krok na czapkach i kłamrach u pasów miejscowych pracowników. Popiół wywożony z fabryk, który tworzy tu sporą wyniosłość, zwaną z niemiecka hałdą, służy następnie do wyrabiania alunu.

Cała ta strona, znajdującą się w pobliżu kopalni Reden, wyglądałaby dość pokaźnie z długimi rzędami białą otynkowanych domków robotniczych, otoczonych dokoła ogródkami ze skąpą roślinnością, gdyby nie głęboka, pozapadana otchłań, otoczona od strony drogi prostą, drewnianą baryerą. Jest to miejsce zawalone już po wybraniu znajdującą się tamże węgla przez podcięcie pali i belek, które tu przedtem istniały, jako podpory broniące kopalnię od zawalenia?

Ale jakież to znowu gmach uderza nasz wzrok na pobliskim wzgórzu?

Jest to budynek przeznaczony na pomieszczenie zarządu górniczych zakładów, wzniesiony niegdyś w gotyckim stylu według planu budowniczego Lanciego, który smak swój artystyczny uwydatnił nawet i w owych domkach robotniczych, rozrzuconych poniżej, przez przybranie ich w malownicze wystawki, dla odpoczynku i wytchnienia mieszkańców. Ale nie zatrzymujemy się dłużej, bo oto dochodzi przeraźliwy odgłos świstawki ostrzegający, że już i tak zbyt długo zabawiliśmy na powierzchni ziemi, zapominając o owej dziedzinie podziemnych skarbów, dla której właściwie puściliśmy się w drogę.

Stajemy tedy tuż przy jednej z najbliższych kopalni węgla w Dąbrowie. Tu spotykamy na wstępie ogromną maszynę o sile 150 koni, zasilaną przez dziesięć kotłów. Ona to jest głównym motorem ruchu całej kopalni, nie tylko bowiem służy do wyciągania wózków z węglem, ale jeszcze i do poruszania windy, którą górnicy spuszczaają się do wnętrza. Doniosłość jej łatwo sobie możemy wyobrazić, z tego, iż w ciągu doby, z tej jednej tylko kopalni, wydobywa się 3,000 worków węgla, z których każdy waży 37 pudów. Węgiel ten wydobywa się z głębokości 300 łokci pod ziemią, z tak zwanego szybu, czyli ocembrowanego otworu, którym spuszczaają się górnicy, — skąd znów rozechodzą się na różne strony tunele, gdzie się znajdują grube pokłady węgla.

Owa wyżej wspomniana winda ułatwia górnikom wstęp do głębi kopalni; dawniej musieli oni schodzić przy pomocy ogromnej długości drabin; jest to rodzaj wysokiej klatki o niezmiernie silnych prętach, przez które widać przebywającą przestrzeń. Wind takich bywa dwie. Są one przymocowane na odpowiedniej grubości linach w otworze szybu i urządzone w ten sposób, że skoro jedna z nich opuszcza się na dół, druga natychmiast wznosi się ku górze, co się skutecznia za każdym razem zaledwie w przeciągu dwudziestu sekund. Windy te służą przede wszystkim do wydobywania na powierzchnię worków naładowanych węglem.

Łatwo sobie można wyobrazić, jak ciężką i niebezpieczną jest praca górników. Wysadzają oni prochem lub dynamitem ogromne bryły węgla, albo też wyrabują takowe ciężkimi, żelaznymi kilofami, podczas gdy młodszy pomocnicy odwożą je natychmiast do miejsca, gdzie się znajduje kolej podziemna, pełna wózków, przeznaczonych do ładowania i ciągniętych przez konie, układane już wcześniej do tego rodzaju podziemnej pracy.

Zagłębie dąbrowskie zawiera około 20 kopalni węgla, które dają zajęcie mniej więcej 12,000 robotnikom, dochodzącym pomimo mozolnych trudów, nieraz do bardzo późnego wieku. Codzienne nawyknięcie czyni tych ludzi mniej wrażliwymi na nieprzejrane ciemności, słabo oświetlone małymi lampkami, umieszczonemi z boku u pasów, a wiara w Opatrzność Boską chroni ich od trwogi i umacnia do wytrwania w pracy. Dzięki ciągłym postępom w górnictwie zdarza się coraz mniej smutnych wypadków po kopalniach dawniej zaś często wywoływały je dwa najgroźniejsze żywioły: ogień i woda.

Wprawdzie w kopalniach naszych z powodu suchego gatunku węgla, niema gazów zapalnych piorunujących, jak w wielu kopalniach za granicą, niemniej jednak ogień jest strasliwym nieprzyjacielem górników.

Czytelnicy nasi, wszyscy prawdopodobnie znają węgiel kamienny, w tak powszechnym będący teraz użyciu i zauważyli może nieraz w nich połysk złotawy, choć może nie zastanawiali się nad jego pochodzeniem, ani nad tem, że po wypaleniu się węgla pozostaje żużel. Otóż ten błyszcz, jest to tak zwany siarek żelaza, minerał, który w zetknięciu z wodą i powietrzem, rozpoczyna proces chemiczny, wydzielający ciepłik, od którego znów zapala się węgiel i szczególnie do tego podatny drobny miał, nie mogący być nigdy całkowicie usuniętym z kopalni. Jest to najgroźniejsza przyczyna powstawania pożarów, przeciwko którym istnieją dwa tylko możliwe środki, to jest wzniesienie grubego muru z cegły ogniotrwałej, dla zatamowania przystępu powietrza, albo też całkowite zalanie wodą zagrożonego miejsca w kopalni. W sposób powyższy wszczął się też w r. 1850 pożar w Dąbrowie, w kopalni Ksawery, który trwał przez lat wiele, wyrządzając ogromne straty.

Woda usuwa się z kopalni, za pomocą tak zwanej sztolni, czyli podziemnego korytarza, idącego pochyło od najszerszego miejsca w kopalni, do niższego jeszcze na zewnątrz niej położonego. W takich sztolniach znajdują się również odpowiednio urządzone maszyny pomocnicze.

(d. c. n.)

KRÓLEWICZ

POWIEŚĆ Z XV WIEKU

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

Zapomniała też o poprzednim swoim rozkazie, ażeby nikt nie śmiał bez jej zezwolenia do komnaty zaglądać, i wolała w gniewnem uniesieniu:

— Wszyscy, wszyscy już z nim trzymacie! Wrogami jestem otoczona! może mi trucizny podacie.

A przebiegając szybkim krokiem komnatę, mówiła:

— Ten, ten nikczemnik! ten wróg! ten!... Ten kruk z pierścieniem! *).

Niewiasty, jakkolwiek przyzwyczajone do nagłych wybuchów gniewu swej pani, tak uniesionej i nie miarkującej się w ruchach i wyrażeniach, nigdy jej jeszcze nie widziały. Spoglądały więc wystraszonym wzrokiem, lub oglądały się dokoła, zarówno jak i niańka dostojnego ich wychowawca, czy z załomu okna lub z poza której z ciężkich opon nie wygląda ów zły człowiek, ów wróg z czarą trucizny, na którego królowa tak się miotła. Żadna jednak nie śmiała się do niej przybliżyć i zapytać o jakie rozkazy, lecz zbiwszy się jak spłoszone kuropatwy, trącały się łokciami lub patrzyły na przewodniczącą im ochmistrzynię, czyniąc jakiś znak. Lecz ochmistrzyni tak samo była przerażona jak jej podwładne. Gorzej nawet, bo nie widząc żadnego niebezpieczeństwa, o którym ciągle wspominała królowa, przyszło jej na myśl czy broń Boże, dostojna jej pani zmysłów nie postradała.

A tak ją ta myśl opanowała, iż gdy Elżbieta coraz srożej miotać się zaczęła, wyrzucać rękami i grozić zaciśniętą pięścią, biedna frejlina prawie bezwiednie sama do siebie szepnęła:

— Oszałała!

Lecz szept jej doleciał uszu najbliższej stojącej, więc jedna drugiej zaczęły szeptem podawać:

— Oszałała!

I jeszcze więcej zaczęły się tulić jedna do drugiej. Na poły zaś z przestachem, na poły z politowaniem, kiwały głowami, przypatrując się ciekawie wszelkim ruchom nieszczej swej w ich mniemaniu pani.

— Cemu z was żadnej nie było! — krzyknęła Elżbieta, stając nagle przed zebranymi nieciwastami.

— Najjaśniejsza pan... — odważyła się przemówić ochmistrzyni.

Lecz Elżbieta nie pozwoliła jej mówić, tylko tupnąwszy nogą, zawołała:

— Cicho! słuchać moich rozkazów!

Ochmistrzyni umilkła, zgięła swą okazałą postać do polowy i pochyliła głowę w głębokim ukłonie, inne niewiasty poszły za jej przykładem i wszystkie w kornej postawie czekały, co dalej spadnie.

Wśród tego oczekiwania, zerkwały jednak ciekawie na chodzącą znów po komnacie Elżbietę, a śledząc jej ruchy utwierdzały się w przekonaniu, iż nieszczęśliwa ich pani rzeczywiście zmysły postradała. Wtem Elżbieta stanęła przed niemi i podnosząc rękę do góry zawołała:

— Rozkazuję, ażeby najjaśniejszego naszego syna Władysława od tej chwili najjaśniejszym królem węgierskim nazywano! Rozumiecie? królem! — wrzasnęła z całej siły.

Niewiasty zwróciły się w stronę, gdzie ów mały król głód swój zaspakajał i na znak uszanowania jeszcze niższy oddał pokłon i jeszcze niżej pochylił głowy. Ale jednocześnie karmicielka owego króla zerwała się z siedzenia i huśtając go na rękę, szybkim krokiem oddalała się z komnaty, mówiąc:

— A toć nim on o swoim królestwie wiedzieć będzie, to przy tych krzykach z przestachu jeszcze zachoruje.

Ochmistrzyni i całe otoczenie usłyszawszy słowa kobiety, nie licząc się z dworską etykietą, zdrętwiało z przerażenia.

Frau Cirna, wyprostowawszy się nagle, zbliżyła się do idącej ku drzwiom mamki, lecz ta energicznym podrzuceniem ramienia odsunęła ochmistrzynię, mówiąc:

— Co mi tam te wszystkie ceregiele! jak dziecko zachoruj, albo zamrze przy tych pańskich wrzaskach, to mu i królestwo życia nie wróci!

I nagle stała się rzecz nadzwyczajna:

Elżbieta zamiast rozgniewać się za prostactwo karmi-

cielki, żywo podeszła ku niej, położyła dłoń na jej ramieniu i rzekła:

— Tak, tak, ty tylko jedna, pocziwa Gerdo, dbasz o najjaśniejszego pana, ty tylko jedna nie dasz mu zrobić krzywdy.

Lecz Gerda wcale się nie dała przejednać; skierowała się ku drzwiom, a odrzuciwszy łokciem zasłonę, uniosła drgającą z przestachu niemowlę, a za nią szybkim krokiem wybiegła królowa. Dwór obecny temu nadzwyczajnemu przekroczeniu wszelkich praw przepisanych etykietą, stał chwilę w niemem osłupieniu, nie wiedząc co dalej robić.

Wreszcie ochmistrzyni rzekła:

— Woła, czy nie woła, trzeba iść za nią, boć gdyby się trafiła jaka zła przygoda jej królewskiej mości królowej wdowie lub dostojnemu królewiczowi... chciałam powiedzieć królowi Władysławowi, na nas spadałaby odpowiedzialność.

I pani Cirna cała zafrasowana wyprostowała swą krępa postać i podażyła temi samymi drzwiami, które wyszła Elżbieta. Za ochmistrzynią zaś uszykowawszy się w zwykłym oryndku pospieszyły damy dworu, zwracając się po drodze jedna drugiej z ogromnego przestachu, jakiego doznały z powodu rzekomego obłąkania królowej.

II.

Elżbieta, jedyna córka Zygmunta Luksemburczyka i Barbary Cylejskiej, odziedziczyła po rodzicach charakter dumny i niepomahowaną popędlliwość, która ją przyprowadzała nieraz do utraty zmysłów.

Wydana za Alberta Habsburga zatruwała mu życie, gdyż jako dziedziczka korony węgierskiej i czeskiej po ojcu, dawała mu uczuć, że przez nią jedynie nad temi państwami panuje.

Za życia jednak Alberta nie wdawała się w sprawy państwa, zadawała sobie tylko prowadzeniem intryg na własną rękę. Po śmierci Alberta w grudniu r. 1439 marzyła tylko aby jakimkolwiek sposobem zjednać sobie stronników i zawładnąć tronem czeskim i węgierskim. Dwie jej córki ośmioletnia Anna i sześcioletnia Elżbieta, tronu osiągnąć nie mogły, który już i na nią przeszedł tylko wyjątkowo.

— Zresztą, to dziewczyny, — mówiła pogardliwie — wydadzą je za męża, a pan zięć odsunie mnie od władzy.

I zaciskając niecierpliwie dłonie, ciężko wzdychała.

Gdy oto szczęśliwy los zdawał się sprzyjać jej zamiarom.

Dnia 1-go maja 1440 r., to jest wkrótce po śmierci ojca, przybył jej syn!

— Mój Pogrobowice, mój dziedzic korony — mówiła, patrząc z czułością i dumą na wątłe niemowlę. — Będziesz królem węgierskim i czeskim! — powtarzała z tkliwością matki i dumą władczyni. — Będziesz królem, a ja za ciebie rządzić będę! — dodawała, snując dalej swoje zamiary. — Nie damy tronu Władysławowi i Kazimierzowi, którzy z ręką twych sióstr chcieli ci zedrzeć z głowy koronę! oho, nie damy! — odgrażała się, wyrzucając gniew swój długo tajony. — Będziesz nosił imię Władysława, bo to imię Węgrzy nie wiedzieć dla czego sobie upodobali.

— Będziesz ich królem! dodawała po chwili.

I odtąd myśl ta zaprzątnęła ją tak silnie, iż chwili spoczynku nie dała.

Wewnątrz kraju tymczasem wrzały niezgody a granicę szarpali Turcy, których Jan Korwin Hollos Hunyad już od wielu lat swym dzielnym odpierał ramieniem.

Jan Korwin Hollos Hunyad liczył w chwili naszego opowiadania lat 41; od szesnastego roku życia nie znał prawie, co to jest spocząć pod dachem, ogerzała twarz i gęste na twarzy blizny dowodziły jasno, iż dłoń jego roznosiła postrach wśród nieprzyjaciół w obronie ojczyzny.

Lecz ten Jan Hunyad, o ile lubionym był przez Alberta, o tyle niecierpiała go Elżbieta.

Po śmierci męża ukryła jednak swoje niechęć i przy byle zdarzonej okazji zapraszała do siebie, a nawet pozornie prosiła o radę.

*) Kruk z pierścieniem w dziobie jest herbem Hunyadów.

Korwin nie narzucał się nigdy, zajęty obroną kraju, niekiedy tylko i to w ważnych chwilach ukazywał się na dworze królewskim; Elżbieta wiedziała, że Hunyad ma zaufanie narodu, że koło niego skupiają się wielcy i mali i głos jego ma u nich największe znaczenie.

Pomimo więc, iż nie lubiła dzielnego wodza, starała się go przejednać, przez niego bowiem pragnęła trafić do umysłów, które tymczasem chciały widzieć na tronie innego Władysława.

Od chwili, gdy powzięła zamiar osadzenia na tronie maleńkiego Pogrobowca, coraz częściej zapraszała Hunyada na dwór swój, lecz zamiast przejednać go, drażniła tylko bezprzestannie swą opryskliwością i wymaganiami, które żadną

— Nie idzie w tej chwili o koronę lecz o stosunki sąsiedzkie, które świętej pamięci król nasz a małżonek waszej królewskiej mości pragnął utrzymać...

— Wam idzie o stosunki, mnie o koronę dla syna! — przerwała.

— W tej chwili najjaśniejsza pani pozwoli sobie przedstawić, iż dla jej własnego dobra trzeba albo przyjąć posłów, albo odpowiedzieć, żeby do kraju naszego nie przybywali — rzekł z uszanowaniem Hollos.

Elżbieta ściągnęła brwi i szarpiąc na sobie odzienie, przeszła się kilkakrotnie.

Nagle stanęła przed oczekującym jej odpowiedzi wódcem i z jakimś dziwnym uśmiechem rzekła:



Sanhedryn i faryzeusze. Część panoramy Golgoty Jana Styki.

miarą nie mogły się pogodzić z szlachetnym charakterem Hunyada i przynieść szczęście krajowi.

Wśród tego szamotania się królowej doniesiono jej, że z sąsiedniego kraju wybiera się poselstwo, ażeby przypomnieć układy zawarte za życia Alberta, w których starszą swą córkę Annę oddawał za żonę piętnastoletniemu Władysławowi, młodszą zaś Elżbietę bratu jego.

— Co, ja miałabym przyjąć tych posłów? — zawołała gniewnie.

— Najjaśniejsza pani, nieprzyjęcie ich byłoby obrazą dla sąsiedniego a tak życzliwego narodu naszemu państwu — ozwał się Hunyad, który, jak gdyby nie nie zaszło, na drugi dzień po opisaną poprzednio rozmowę zjawiał się z tą wieścią.

— Węgry i Czesi mają naturalnego dziedzica korony w osobie syna naszego Władysława Pogrobowca — zawołała, hamując gniew swój Elżbieta.

— Niech przybywają, ale zamiast do córki, do mnie niech swaty obrócą!

Hunyad nie mógł ukryć niespodzianki, jaką mu ta odpowiedź zrobiła, spojrzał więc na królowę wzrokiem zdziwionym.

— Cóż patrzycie tak na mnie, Władysław, którego sobie na króla szykujecie, ma dopiero lat piętnaście, sam więc rządzić nie może, potrzebuje dojrzałej rady. Idę w myśl waszą, on będzie waszym królem, a ja jego opiekunką!

To mówiąc nachyliła się do stojącego w zdziwieniu Hollosa, zaśmiała mu się w twarz szydlerczo i odwróciwszy się nagle wyszła.

Po twarzy dzielnego wodza przebiegł wyraz bolesny. Wyszedł też zaraz, jakby namyślając się, co dalej czynić.

I jak wczoraj królowa, tak dziś hrabia nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy. Szydlercze odezwanie się Elżbiety

dowodziło, iż coś nowego knuje, i że ku temu mieć musi właściwe stronnictwo. Szedł więc w głębokim zamyśleniu przez długie, pozostające w wiecznym półmroku zamkowe krużganki, gdy oko w oko spotkał się z Michlosem Garą, wojewodą, możnym panem i najgorliwszym stronnikiem hrabiów cylejskich.

Gara od pewnego czasu znikł ze stolicy, rozgłoszono, iż dla poratowania zdrowia, zaraz w początkach maja udał się do Niemiec, i że tam miał zabawić do końca roku. Teraz jakkolwiek był to dopiero lipiec, nagle się zjawił. Szedł zaś odmłodzony i tak pewny siebie, jak gdyby zamek ten nie był królewską, lecz jego własną siedzibą.

— Czołem! — rzekł, spoglądając ze słodkim uśmiechem na Hunyada.

i szybkim krokiem skierował się w stronę komnat królewskich.

— Musi wiedzieć o naszych zamiarach — myślał sobie Gara.

— Przynosi zapewne pomoc ze strony cesarza Fryderyka, bo idzie z miną nader pewną; -- pomyślał Hunyad i wyszedł z zamku.

— No, co będzie, to będzie, w końcu musi być nasza wygrana. Hrabia Cylli obiecał swą pomoc, wprowadzić hrabstwo zostanie zapewne wcielone do cesarstwa, ale cóż nas to obchodzi! Korony cesarskiej nie dostaniemy, ale ten niedołęga Fryderyk, zezwoli przecież na ukoronowanie i uznanie królem Czech i Węgier pogrobowca!

— A ja?



Przy krzyżu. Część panoramy Golgoty Jana Styki.

— Czołem! — odpowiedział tenże, nie zatrzymując się wcale.

— Gdzież to tak spieszo, szlachetny hrabio? — zapytał Gar.

— Nie spieszę się, owszem, idę powolnym krokiem — odparł Hunyad, podnosząc nań swój wzrok przenikliwy.

Gara począł mrugać oczami, jak gdyby unikał spojrzenia wodza.

— To dziwne, zdaje się, że jestem zdrów zupełnie, a pozostało mi jakieś drganie w oczach — tłumaczył się.

— Choroba znać jeszcze nie uleczona, kto wie, czy wam, mości wojewodo, nie wypadnie powtórnie szukać pomocy u cesarskich lekarzy — odrzekł Hunyad, kładąc pewien nacisk na ostatnie wyrazy.

— Być może — odparł Gara. Mimo lipcowego upału, owinał się szczelnie opończą, jak gdyby coś pod nią ukrywał

— No, ja za to dziecko rządzić będę!

— A Elżbieta?

— Ją się jakoś ułagodzi; zresztą, ktoby sobie dużo zadawał kłopotu, ona będzie krzyczeć, a ja rządzić — myślał sobie Gara dochodząc do podwoi królewskich. Do swych myśli się uśmiechał i spoglądał na dwie szkatułki, które pod opończą ukryte trzymał.

— Gdy dam to bawidełko dla przyszłego króla, a to jejmości, tak się udobrucha, że odda mi w ręce cały ster rządów.

I uśmiech zadowolenia zajaśniał na jego obliczu.

— Zresztą musi; inaczej ją i dziecko lichu wezmie. — A naród? — dodał zastanawiając się nad swymi myślami; i zamiast uśmiechu chmura osiadła na jego wyniosłym czole.

(d. c. n.)

PANORAMA GOLGOTY.

W tych dniach otwartą została w Warszawie druga panorama, i to taka, której sam przedmiot budzi najwyższe zajęcie. Znany malarz krakowski, twórca wielu pięknych obrazów, Jan Styka, z pomocą grona artystów wykonał obraz, przedstawiający najważniejszą chwilę w dziejach ludzkości, chwilę męki Zbawiciela.

Twórcy Golgoty uczynili wszystko, co było w ich mocy ażeby tę chwilę odtworzyć z możliwą prawdą i doskonałością. Styka odbył pielgrzymkę do Ziemi Świętej i na miejscu szkicował krajobrazy okolic, w których odbyła się ta straszliwa zbrodnia. Mamy więc wiernie przedstawioną Górę Oliwną, rozdoły i płaskowzgórza otaczające Jerozolimę, a w oddali seledynowe fale Martwego morza, a za niem pasmo gór skalistych Moab.

Krajobraz stanowił jednak najłatwiejszą część zadania, bo krajobraz pozostał niezmiennym. Co najwyżej wzgórza mogły utracić swoje zadrzewienie, ale położenie ich i barwy lokalne przechowały się przez wieki.

Inaczej się rzecz ma z dziełami ręki ludzkiej, a nawet z samą Golgotą, uświęconą krwią Najświętszą. Na wzgórzu tem biorącem nazwę od wyrazu hebrajskiego *czaszka*, którą przypominało kształtem — co też artysta uwypakował — dziś wznosi się przybytek Grobu Świętego, a jak wiemy wszystkie chrześcijańskie wyznania roszczą sobie do niego prawo i każde ma tam swoje kaplice i kapłanów.

Cała ta dawna Jerozolima zmieniła się do niepoznania. Naprzód zdobyta przez Tytusa uległa zupełnemu zniszczeniu, a potem ileż walk tu przebrzmiało! Sam czas, jaki nas od męki Pańskiej oddziela, starczyłby do zrównania z ziemią najwspanialszych gmachów, a co dopiero gdy ludzie tak silnie się do tego przyczynili. Odtworzenie więc dawnego miasta przedstawionego na obrazie, wymagało wielkiej archeologicznej pracy, wczytania się w historyków starożytnych oraz badania ruin i fundamentów, o ile te odnaleźć się dadzą.

Ta część także obrazu wykonana została z niezmierną sumiennością. Więc na tle zieleni wzgórz otaczających, rysuje się świątynia zbudowana naprzód przez Salomona, założona przez Nabuchodonozora po powrocie żydów z niewoli babilońskiej, dźwigała się z ruin, ale dźwigała się powoli i nie mogła równać się okazałością z budową Salomona. Herod dopiero na 23 lata przed narodzeniem Chrystusa, zaczął ją przebudowywać, w chwili jednak śmierci Boga-człowieka nie była jeszcze ukończoną. Widzimy więc tylko marmurowe mury jaśniejące białością, przysłomione w niektórych częściach rusztowaniem. Jak wiemy, tę wspaniałą wykończoną świątynię zburzył cesarz rzymski Tytus.

Po prawej stronie obrazu widać inną wspaniałą budowę o rzymskim stylu, to pałac Heroda, dalej cyrk kolisty, bo Rzymianie bez igrzysk obejść się nie mogli, i twierdzę wystawioną jeszcze dawniej którą wzmościł znacznie Herod.

Wokoło miasta wznoszą się otaczające je mury, poza którymi znajdowała się wówczas Golgota, i dwie bramy: Gennas i Efraim — przez którą to ostatnią Zbawiciel miał być na śmierć prowadzony, będą w tej stronie. Tuż przed murami na prawo widać zbiornik wody Amygdalon; poza nim wznoszą się domostwa obronne z płaskim dachem, na których według starego zwyczaju gromadzą się mieszkańcy, dla użycia wieczornego chłodu. Nieco dalej na lewo droga, wiodąca do miasta i błonie, na którym pasą się trzody.

Słusznie uczynił artysta, iż zamiast zwykłego okręgu panoramicznego, ograniczył się do półkola, zamykając je jakoby murami warowni. Nie przeszkadza to wcale złudzeniu a w obec przerażającej sceny, jaka się odgrywa, niktby od niej nie odwrócił oczu. Krajobraz, jak to być powinno, służy jej tylko za tło wiernie i podnoszące złudzenie prawdy.

Artysta z wielką uwagą i prawdziwym uczuciem religijnym wybrał odpowiednią chwilę do obrazu swego, nie

przedstawił bowiem Zbawiciela na krzyżu, jak to zamierzał uczynić niemiecki artysta Polgheim, według którego rysunków wykonaną jest panorama, obecnie znajdująca się w Ożestochowie, bo groza wywołana straszliwą męką, przedstawioną z możliwą prawdą, zatrzećby musiała artystyczne wrażenie nie pozwalając ocenić szczegółów kompozycji. Tem mniej nadawała się do odtworzenia chwila przybicia do krzyża. Styka odmalował przygotowania do męki. Widzimy więc Zbawiciela stojącego opodal nieco od miejsca, gdzie leży krzyż, w białej szacie, z oczyma wzniesionymi do nieba, z powrozem na rękach; skupia On od razu uwagę widza. O parę kroków stoi Najświętsza Panna obok Maryi Kleofy i Maryi z Betanii, podtrzymywana przez najmilszego ucznia Chrystusa, a przed nią klęczy Marya Magdalena z rozwianymi złotymi włosami. Z tej strony także znajduje się święty Piotr, pogrążony w rozpacz, poprzedzony przez kura, jak-gdyby przypominającego mu chwilową trwogę i słabość.

Koło Zbawiciela Szymon z Cyrenei, który pomagał Mu krzyż dźwigać, obciera sobie potem zroszone czoło, przy nim dwaj pachołeta jego synowie, Alexander i Rufus, przyszli męczennicy, z dziecinną uwagą przyglądają się zebranym tłumom. Z boku stoją dwaj łotrzy, a krzyże ich już są wkopane. Ten co miał się nawrócić, Dykma, spogląda na Zbawiciela, w jego sercu budzą się lepsze uczucia na sam widok świętej postaci, owianej urokiem boskości, drugi Gezma odwraca głowę.

Znany młody poeta, Ignacy Baliński, podpisujący się pseudonimem: Aksel, w pięknym wierszu pod tytułem: Golgota, tak opisuje tę część obrazu, przedstawioną na rycinie naszej po prawej stronie:

Patrzcie! tak wówczas skłębili się stada,
Czarne chmur stada nad grodem Syonu,
I tak pod niemi — straszna, naga, blada
Sterczała skała sromoty i zgonu,
Dalekie góry w mgłę tonęły sinej
Czerniały góry, jary i doliny.

Tak się w ostatnich promieniach bielili
Śpiętrzone gmachy i świątyń filary,
I tak płynęły tłumy, — marne pyły,
Przez bram podwoje na miejsce ofiary,
Aby oglądać w straszliwej godzinie,
Jako na krzyżu Sprawiedliwy ginie.

I tak tam stała z radością złowrogą
Kapłanów rzesza w jaskrawej odzieży,
Pretor, stróż prawa, błyskał białą togę
I lśniły włócznie nad rządem żołnierzy.
I uczeni trwożna zbili się gromadka,
Niewiasty święte i bolesna Matka.

I może, może, w jasności świetlanej,
Promienne lica podniósłszy do góry,
Tak na tem wzgórzu stanął Pan nad Pany
Nad wieńcem z cierni i szatą z purpury,
Zanim krzyż męki podnieśli oprawce
I świata na nim zawiesili Zbawcę,
Który objawił ludziom cel żywota
Ze szczytu wzgórza, co zwie się Golgota!

Po lewej stronie Zbawiciela zgromadzeni są Faryzeusze, a na ich czele Sanhedryn, wśród którego odznacza się poważny wiekiem Ananiasz i zięć jego Kaifasz. Szawel, ten co miał później stać świętym Pawłem, toczy żywą rozprawę z jednym z Faryzeuszów, których lektyki stoją na boku przy zbrojnej służbie, co je dźwigała. W głębi Józef z Arymatei wraz z Nikodemem, spogląda pełen boleści na mającą się spełnić zbrodnię.

Oprócz tych głównych postaci, o których wspominają Ewangelie, znajdują się tu przedstawiciele władzy: pretor, łysy i opasły w białej todze, przy nim liktor z pękiem różg. Ktezifon odczytuje głośno w jego obecności raz jeszcze wy-

rok skazanym a setnik Longinus konno na czele swej kohorty pilnuje porządku.

Na przodzie pod krzyżem oprawcy, krzątają się około straszliwej roboty, z obojętnością ludzi do niej przywykłych. Jeden stojąc w dole pokazuje wydobyte z niej kości, bo według podania, krzyż Zbawcy stanął na mogile pierwszych naszych rodziców, inny wydobywa młot i gwoździe, jakby dla uprzytomnienia tego, co się ma spełnić. Wokoło tłum różnobarwny, tłum, który płynie od Golgoty dwiema bramami, powodowany rozmaitemi uczuciami, najlepiej wykazuje ową głupią i okrutną ciekawością, znamionującą gawiedź po wszystkie czasy i wieki.

Toż samo widzieć można na postaciach, znajdujących się na tarasach domów, jednak z innemi odcieniami. Boski Mistrz budzi w niektórych ciekawość tylko, w innych zdumienie a wreszcie i współczucie głębokie.

Zresztą życie codzienne, niezmacone odbyć się mającym krwawym dramatem, przedstawiają pasterze na błoniach, kobiety, piorące w sadzawce i podróżni jadący drogą.

Na horyzoncie tymczasem zbierają się chmury ciężkie, burzliwe, z miedzianemi odbłyskami, które wkrótce luną potokami deszczu, wybuchną gromem i błyskawicami. Nie zlały się one jednak jeszcze w jedną całość. Gdzieś tam przebijają się przez nie promienie słońca. Snop takich promieni pada właśnie na Zbawiciela i główne osoby otaczające go blaskiem uwydatniając w oczach widza, który naturalnie naprzód szuka ich wzrokiem, i może za pomocą znakomitego dzieła uprzytomnić sobie moment straszny, bolesny a tkwiący zawsze w sercu każdego chrześcijanina.

W. M.

Gordon Stables.

WYPRAWA DO GRENLANDYI

bieguna północnego.

(Dalszy ciąg).

Pewnego dnia ukazała się, jak gdyby chmura na horyzoncie od zachodu. Ta chmura, z początku bardzo niewyraźna, zarysowywała się coraz to dokładniej, a gdy słońce zachodziło, przybrała barwę czarną i nie przepuściła ani jednego promyka. Okazało się, że to był łódź. Właśnie wtedy całe towarzystwo wprawiało się w bieganie na „skich”, i czy to bliskość ładu, czy prąd cieplejszej wody spowodowały, ale nagle otworzyła się szeroka szczelina pomiędzy ślizgającymi się a okrętami, i gdyby nie nadeszła szybko łódź, wyprawa mogła się skończyć bardzo smutnie, bo w jednej chwili gęsta mgła nasunęła się z południa, i przez parę godzin nic nie było widać dokoła. Ale za to było co słuchać: Widocznie gdzieś daleko przechodziły burze, tu zaś doszły tylko rozkołysane fale, które jedna po drugiej uderzały o brzeg lodowca, wślizgiwały się pod niego, podnosiły całe obszary, druzgocąc i piętrząc je jedno na drugich. Wszystko to sprawiało tak niezmierny hałas, że syreny okrętowej wcale nie było słychać.

Kiedy mgła opadła, ujrano na północ i na południe szeroki kanał wody. Marynarze wzięli się do pił, i po upływie dwudziestu czterech godzin udało im się wyrąbać statek z zapory lodowej i spuścić na morze.

Kapitan Reynolds skierował się na południe, lecz ponieważ wiatr był przeciwny, okręt posuwał się bardzo wolno.

Tymczasem wybrzeża Grenlandyi rysowały się coraz wyraźniej i coraz wraźniejsze kształty przybierały marzenia

kapitana, aby przejść ten kraj nieznaną od wschodu na zachód.

Przebyli nareszcie szczęśliwie szeroki wał gór lodowych, który zamykał wyjście kanału, i znaleźli się na otwartym morzu. Tu kapitan Reynolds kazał na nowo założyć ster, który odjęto z obawy, aby go lodowce nie zdruzgotały.

Kiedy kapitan spoglądał zbliżając się na Grenlandię, spowiła w wieczne lody, zaczął się obawiać, że żadna wyprawa nie zdoła przebyć wysokich gór i dostać się na wyżyny środkowe.

Wzdychał, patrząc na wybrzeże, aż Collin, stojąc obok, rzekł:

— Wiem o czem pan myśli: że pański zamiar jest nie do wykonania.

— Coś w tym rodzaju. Tylko wpierw zawsze trzeba spróbować.

— Mój wuj powtarza: „Mierz siły na zamiary” i ma rację.

— I my tak postąpimy, mój chłopcze, a zobaczysz, że nie utkniesz w pół drogi.

V.

Kapitan Reynolds uchodzi za waryata, lecz w końcu znajduje przyjaciół.

Speedy wracał do domu, i niebawem wpłynął do portu we Fraserbergh. Wrócił z pełnym ładunkiem, nie straciwszy ani jednego człowieka, czem się chlubił Rudland Syme, chociaż marynarze przypisywali to raczej szczęśliwym okolicznościom, niż jego zasłudze.

Nastąpiły przyjęcia, obiady, które zwykle towarzyszą powrotowi statku, i na jednym z nich zapytano niespodzianie kapitana, czy nie wie, co się stało z Pelikanem, ponieważ doszły wieści, że zginął. Reynolds aż pobladł ze wzruszenia, bo jeżeli się zdarzył jakiś wypadek nieszczęśliwy, to on był jego przyczyną. Opowiedział więc całe zdarzenie, a ponieważ kapitan Smart nie był lubiony, zawyroковано, że mu nie będzie.

Pomimo to wszystko, Reynolds dopiero się wtedy uspokoił, gdy ujrano na morzu Pelikana, który wzywał sternika. Dość było spojrzeć aby poznać, że mu się połów nie udało; istotnie, oprócz tych niewielu fok, które zabito w obecności kapitana Reynoldsa, nie upolowano ani jednej, i Smart widząc, że jest przedmiotem żartów, prosił o urlop i wyjechał na południe.

Właściciele Speedy zadowoleni byli z polowań i proponowali kapitanowi dowództwo na rok następny. On im na to nie odpowiedział, gdyż jeszcze nie wiedział, co będzie z jego wyprawą do bieguna.

Collin i Olaf spędzili lato częścią w Moira, częścią w Norwegii, dokąd zawiózł ich „Dunkan”, mały yacht Olafa. Gdy już wracali do Anglii, oddano im w Chrystianii list od Reynoldsa, który pisał, co następuje:

Zważywszy, że znaczne korzyści wynikną dla nauki z podróży przez Grenlandię, postanowiłem ją odbyć. Nie ukrywam trudności, jakie musi napotkać wyprawa tego rodzaju, ani też zapominam, że wszystkie podróże, przedsiębrane w głąb tego kraju, nie doszły do skutku. Metoda, według której mam zamiar postępować, jest całkiem nowa, i na tem funduję nadzieję powodzenia.

Wyłynę ze Szkocyi lub Norwegii w połowie maja i udam się z towarzyszami na brzeg Grenlandyi, o ile można na północ. Być może, że lodowce nie pozwolą okrętowi przybić do ładu, wtedy wysiadamy na lód i postaramy się dojść pieszo. Ale, że jak wiadomo, pola lodowe są często przerzynane przez szerokie szczeliny, musimy wziąć ze sobą łódź, abyśmy się mogli przez nie przedostać. Wylądujemy na północ od przylądka Dan, w okolicy prawie nieznanego, zamieszkałego przez Eskimosów. O ile mi wiadomo, niedaleko wybrzeża ciągnie się łańcuch górski, musimy go przebyć, co

będzie połączone ze znacznymi trudnościami, lecz po drugiej jego stronie spodziewam się znaleźć równiny, pokryte zmarzłym śniegiem, bardzo odpowiednie do jeżdżenia na „ski'ch”.

Pierwszy nasz dłuższy etap zamierzam odbyć w Christianshaab nad zatoką Disko, gdzie wypocniemy i zaopatrzymy się w zapasy do dalszej drogi.

W dalszym ciągu pisał, że nie wątpi, iż Collin i Olaf przyłączą się do wyprawy, i że niechybnie rachuje na doświadczenie Sigurda.

Podobny artykuł zamieścił w jednym z najbardziej rozpowszechnionych dzienników angielskich, i nie dziw, że wzbudził on zainteresowanie ogólne, ponieważ wyszedł z pod pióra zdolnego podróżnika, który pisał ze znajomością rzeczy, opierając się na własnym doświadczeniu.

Artykuł ten wywołał dysputy, sprzeczki, jedni uważali plan młodego autora za możliwy do wykonania, inni go wręcz wyśmiewali, nazywając cały ten projekt szaleństwem.

— Przypuśćmy — pisał jeden z uczonych — że ten wariat Reynolds dostanie się na wybrzeża Grenlandyi, w jakież sposób przejdzie góry tak strome, jak skandynawskie, a w dodatku pokryte grubą warstwą śniegu? Byłaby to druga przeprawa Hannibala przez Alpy. Powiada on, że ze strony wschodniej chce się wdrzeć na te góry, aby z nich zejść na równiny, pokryte śniegiem. Projekt ten dowodzi, że autor nie ma pojęcia o istotnym stanie kraju.

Tego rodzaju krytyki były liczniejsze od pism, zawierających uznanie, to też nasi młodzi przyjaciele Collin i Olaf sami nie wiedzieli co myśleć.

Kiedy Reynolds przyjechał w jesieni do Londynu, artykułami jego już tylko niewiele osób się zajmowało, i te przyszły go odwiedzić. Byli to po większej części członkowie towarzystw uczonych, którzy, zamiast dodawać młodemu człowiekowi odwagi, wciąż mu przekładali, że projekt jego może być chyba tematem do powieści dla młodzieży, ale wykonać go niepodobna!

Reynolds nie sobie z ich rozsądnych rad nie robił, słuchał uważnie, nie nie odpowiadał, a gdy mu się już morały uprzykrzyły, zwracał rozmowę na wypadki dnia, albo pogodę.

— Przynieśli bilet dla pana — rzekła raz wieczorem służąca, właśnie po jednej z owych nudnych wizyt.

— Lord Daybreak — rzekł Reynolds — jeszcze nowy uczoney, ale ten się przynajmniej wesoło nazywa Daybreak znaczący brzask.

Lord Daybreak zasługiwał na swe nazwisko. Był to uczoney, ale uczoney nie tyle z książek, ile własnem doświadczeniem. Wiele podróżował, znał Islandyę, Norwegię, Przylądek północny, dokąd jeździł na własnym yachcie. Z jego rozpromienionej twarzy tryskała energia i odwaga.

Po krótkim przedstawieniu rzekł do naszego kapitana:

— Niech się pan nie gniewa, że wprost zapytam: Czy ma pan dosyć pieniędzy na drogę?

— To jest jedyna przeszkoda, ale mam nadzieję.

— Co tam nadzieja! To jest bardzo piękna cnota, ale ona pana nie zawiezie do Grenlandyi. Niech mi pan pozwoli wziąć na siebie wszystkie koszta.

— Nie wiem doprawdy...

— Nie pan nie mów, ja odmowy nie przyjmuję. Zawiozę was na brzeg...

— Yachtem?

— Tak, ale „Aurora” nie jest to zwykły yacht. Już trzy razy byłem na niej pomiędzy lodami, i widzi pan, że i ona i ja wyszliśmy cało. Teraz pana pożegnam, ale mam nadzieję, że się będziemy tej zimy często widywali.

Lord Daybreak sprowadził swoją „Aurorę” do Aberdeen i przez te kilka miesięcy, które go dzieliły od podróży, wzmacniał ją i zaopatrywał we wszystko, co się może przydać na północy, nie obarczając podróżnych. Codzień widziano go w towarzystwie Reynoldsa, wchodzącego na pokład yachtu, ale ciekawi musieli się zadowolnić tylko widokiem podróżników, gdyż statku nikomu nie było wolno zwiedzać.

VI.

Walka z prądem i falą.

Spotykamy znów przyjaciół naszych na oceanie między Islandyą i Grenlandyą.

Tak długo oczekiwane lato już nadeszło i chociaż na tak dalekiej północy nie jest ono zbyt wesołą porą roku, różni się od zimy ruchliwszem życiem ptaków i zwierząt podbiegunowych. Mewy w licznych gromadach przelatują nad brzegami, niedźwiedzie wychodzą ze swych jaskiń i rykiem oznajmują, że długi post dodał im apetytu, nawet morze roi się od ryb, płynących na południe dla złożenia ikry, lub wracających już na północ.

Przez kilka dni dał wiatr bardzo silny i morze się jeszcze nie uspokoiło. Marynarze poprawiają żagle, bo choć yacht jest parowcem, lord Daybreak nie każe palić węgla, jeśli tylko wiatr jest pomyślny.

Właśnie on sam wychodzi ze swej kajuty i, ujrawszy Collina, mówi:

— Cóż tam słyhać, mój chłopcze?

— Wiatr się uspokoił, i kapitan Reynolds powiada, że dziś możemy wysiąść na ląd.

— Ah! jakże mu spieszno, ale trzeba żeby był ostrożny.

Cezar, ogromny pies skoczył na lorda, polizał go po twarzy, a podczas gdy ten się bronił, schwycił mu czapkę z głowy i zaczął galopować po pokładzie. Za nim biegł mały Keltie i starał się go uchwycić na nogi.

— Czyś się pan nie zanadto pospieszył — rzekł lord Daybreak, zwracając się do Reynoldsa, któremu Cezar odniósł czapkę — morze jest jeszcze tak wzburzone.

— O! nie, możemy zupełnie śmiało przybić do lądu, a jacyś już tak pragnął dostać się na szczyt jednej z tych gór, które widzimy przed sobą.

— W takim razie niech was Bóg prowadzi.

Kapitan Reynolds kazał wynieść na pokład wszystko, co wyprawa miała zabrać ze sobą, a lord Daybreak oglądał każdą rzecz z osobna, nie zapominając ani o marynowanych konserwach ani o ciepłej odzieży.

— Niech się wszyscy ubiorą do drogi i zejda się tu — rzekł w końcu.

(d. c. n.)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Po ziemi i pod ziemią. — Królewicz, powieść z XV wieku przez Z. Morawską. — Panorama Golgoty przez W. M. (z ryc.) — Gordona Stables, Wyprawa do Grenlandyi i bieguna północnego (z ryc.) — Dodatek: Pracowita Zosia, wiersz (z ryc.) — Pogadanka z wujem. — Urojone strapienia. — Zamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 18 Января 1897 г. Wydawczya Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.